



GAZETA LITERACKA



Rok I.

WARSZAWA, 1—15 marca 1928 r.

Nr. 5.

Vicente Blasco Ibanez

Popularność Ibaneza przyszła do Polski pośrednio — a mianowicie poprzez filmy. Znakomita kreacja Rudolfa Valentino w „Czterech Jeźdźcach Apokalipsy” otworzyła polski rynek zbytu dla książek bardzo już cytowanego autora. „Krew na arenie” z tymże samym Valentino była ugruntowaniem popularności Ibaneza na naszym gruncie. Jak każda moda, przeszła także i moda na Ibaneza i dziś po śmierci jego nadeszła już wtórna fala robiona głównie przez prasę drukującą różne niewydane nowele.

Na jakich podstawach opiera się poczytność Ibaneza wogóle, a u nas w szczególności?

Ibanez należy do kategorii pisarzy „łatwych”, ale nie płytkich i tem się tłumaczy jego poczytność nie tylko wśród ciwilerów i pół-inteligencji, ale i inteligencji.

Tajemnicę popularności wyjaśnia nam najlepiej poglądy samego twórcy na swoją twórczość.

Od samej młodości Ibanez (ur. 29. I. 1867 r.) poświęca się pracy polityczno-społecznej, stając w szeregach tych, którzy walczą o zreformowanie i podniesienie Hiszpanii. Jest demokratą i republikaninem. Wygłasza cały szereg gorących przemówień skierowanych przeciwko rządzącemu régime, — które powodują zatargi z policją i więzienie. (Ogółem Ibanez był więziony około 30 razy). Studja prawnicze kończy Ibanez w Valencji, zajmując się nadal polityką, głównie w charakterze agitatora. Następują nowe uwięzienia i pierwsza emigracja do Francji. Po powrocie do kraju, zajmuje się Ibanez redagowaniem dziennika „El Pueblo” (Naród). Jest to najbardziej gorący okres jego życia. Praca w redakcji, agitacja polityczna, niebezpieczne podróże propagandowe wypełniają całe dni.

W tym to czasie zaczyna Ibanez tworzyć pierwsze swe utwory powieściowe. Powstają wszystkie w warunkach bardzo trudnych i zupełnie nieodpowiednich jeśli idzie o solidną pracę literacką. Najlepszym przykładem jest historia powstania powieści „La Barriada”, która była pisana od 2-jej w nocy do 5-jej rano w lokalu redakcji, po ciężkim dniu pracy i przerywana tak niepospolitymi wypadkami, jak zbrojna rewolta, pojedynki i t. d. Ten gorący okres kończy się zawieszeniem wydawnictwa „El Pueblo”, więzieniem, a następnie przymusowym wysiedleniem z Valencji. Drugi okres kariery politycznej Ibaneza, jest już mniej barwny i awanturniczy. W czasie tym Ibanez jest siedem razy posłem do Cortesów. Na ten okres, przypadają ciągłe jazdy do Paryża. Francja staje się dla Ibaneza drugą ojczyzną.

Później pięcioletni pobyt w Ameryce. Pierwotnie zajmuje się wygłaszaniem odczytów (w ciągu 9 miesięcy wygłasza ich 120). Potem poświęca się kolonizatorstwu, zakładając w Patagonji kolonję im. Cervantesa. Porzuciwszy Patagonję, zabiera się znowu do kolonizacji na pograniczu Urugwaju i Paragwaju tworząc osiedle „Nowa Valencja”. Wszystkie przedsięwzięcia kończą się bankructwem i Ibanez po pięciu latach prowadzenia życia, jako

wielki handlowiec to znowu jako cowboy wraca do Europy ogarniętej już przez żołą wojny. Przebywa w Hiszpanji prowadząc agitację pro - aljancką — później przenosi się do Paryża. Następuje teraz okres szczytowy kariery pisarskiej. „Czterech jeźdźców Apokalipsy” podbijają serca wszystkich sprzyjających Entencie. Książka zostaje zużytkowana jako świetny środek propagandowy anty - niemiecki, rozdawana jest żołnierzom, wkrótce powstaje przeróbka filmowa. Po skończeniu wojny, druga podróż do Ameryki z odczytami i krótki pobyt w Hiszpanji, skąd zostaje wspólnie z Miguelem de Unamuno, nazawsze wysiedlony. Ostatnie lata życia spędza Ibanez na „Jasnym brzegu”, w Mentonie, nie przestając jednak walczyć z reakcją panoszącą się w kraju, spowodowaną rządami Primo de River. Wtedy to powstaje słynny pamflet odsłaniający kulisy dworu Alfonsa XIII i oskarżający panującą dynastję i wszechwładnego dyktatora o gubienie kraju. Na wygnaniu umiera Blasco Ibanez 28 stycznia 1928 r.

Barwne miało i awanturnicze życie Vicente Blasco Ibanez i nie też dziwnego, że nie zbrakło godnych tematów do powieści.

Urok, jaki wywierają bezsprzecznie powieści Ibaneza jest zrozumiały. Człowiek, który postawił sobie za zadanie fotografowanie tego co przeżywa w formie powieści, nie mógł zawiesić oczekiwań — przeżywając tyle i tak ciekawie przeżywając. Nie mógł zawiesić oczekiwań posiadając przytem niepośledni twórczy temperament. Otóż to — temperament jest drugim czynnikiem, który obok barwnego życia, ukształtował całą twórczość Ibaneza.

Ibanez dzieli cały swój dorobek literacki na cztery grupy. Pierwsza grupa to cykl utworów pisanych w Valencji podczas pracy w redakcji „El Pueblo” w warunkach bardzo trudnych i ciężkich. Do tej grupy należy „Arroz y Tartana”, „Flor de Mayo”, „La Barraca”, „Entre Naranjos” i t. d. „Arroz y Tartana” powstało pod wpływem Zoli. Na pozostałych utworach, jak zaznacza sam Ibanez, decydujący wpływ wywarł Wiktor Hugo. Powieści poetyckie Hugo sprawiły to, że „coraz gęstsza zasłona fantazji zasnuwała nagą rzeczywistość” w powieściach Ibaneza. Cały ten cykl jest poświęcony życiu Valencji i okolic. Krytyka wysuwa na czoło dwa dzieła z tego okresu: „Flor de Mayo” (Kwiat Majowy), „La Barraca” (Chłupa) powieść, która zdobyła Ibaniezowi popularność w Hiszpanji. Na zakończenie tego okresu, Ibanez stworzył powieść historyczną, (były to okresy mody na powieści historyczne, święciło wtedy tryumfy Quo Vadis p. t. „Sónnica la cortesana” w której maluje dzieje starożytnego Sagguntu. Powieść przy dużej popularności w Niemczech i Ameryce nie cieszyła się zbyt wielkim powodzeniem w Hiszpanji.

Drugi cykl utworów obejmuje powieści „tendencyjne lub socjalne” jak je nazywa autor. Cały ten cykl został napisany w okresie niepowodzeń kolonialnych Hiszpanji i jest jedyną grupą utworów wy-

rażnie tendencyjnych. Hasłem ich: „walka z zacofaniem, z sennością życia w Hiszpanji”. Do grupy tej należą: „La Catedral”, „El Intruso”, „La Bordega”, „La Horda” i trzy powieści tworzące odrębną podgrupę: „La Maja desnuda”, „Sangre y Arena” (Krew na arenie) „Los Muertos mandan”. W cyklu drugim na pierwsze miejsce wysunąć należy powieść „La Catedral” której tłem jest słynna katedra w Toledo. W drugim cyklu ustalił Ibanez już stałe formy konstrukcji powieściowej.

Cykl trzeci obejmuje utwory, napisane pod wpływem podróży do Ameryki. Jest on poświęcony całkowicie życiu republik południowo - amerykańskich mówiących i myślących po hiszpańsku. Ibanez zamierzał stworzyć na wzór „Comedie Humaine” Balzaka cykl powieściowy obrazujący życie kolonizatorów hiszpańskich w Ameryce południowej. Wstępem do tego cyklu, zresztą nieskończonego, jest powieść „Los Argonautas”. Następnie idą „La Ciudad de la Esperanza”, „La Tierra de Todos” (Ziemia Zdobywców) „Los Murmullos de la Selva” i „El Oro y la Muerte” (które miało za tło Peru).

Wojna, która wybuchła w piętnaście dni, po ukazaniu się Argonautów zmusza Ibaneza do porzucenia cyklu pld. - amerykańskiego.

Wreszcie cykl czwarty powieści ostatnio stworzonych; tu należą „Los cuatro linetes de Apocalipsis”, „Mare nostrum”, „Los enemigos de la Mujer”, „El Paraíso de las Mujeres”, „El Papa del Mar”. Z powieści najbardziej okrzykniętą są słynni: „Czterech Jeźdźców Apokalipsy”, książka która osiągnęła na rynku amerykańskim największą poczytność. (Jak pisze w swej pracy o życiu Ibaneza Gasco Contelli). Napewno jednak pod względem wartości literackiej stoi znacznie wyżej „Mare nostrum” tragiczne dzieje kobiety szpiega.

Powieści Blasco Ibaneza są wytworem „środowiska”, w którym przebywa. Ibanez pisze o sobie, że „zmienia fizjonomję literacką, stosownie do zmian otoczenia „pozostając zawsze sobą”. Te słowa „pozostając zawsze sobą” można świetnie udowodnić na podstawie lektury książek Ibaneza. Mimo ogromnej różnorodności tematów, wszystkie książki, z wyjątkiem powieści historycznych, jak „Sónnica la Cortesana” i „El Papa del Mar” oraz nowoczesnej utopii à la Swift p. t.: „Raj kobiety” można uogólnić stwarzając typ charakterystyczny powieści Ibaniezowskiej. Charaktery bohaterów powtarzają się stale. Kilka przykładów: 1) Typ męski przedsiębiorczy — Madariaga (Czterech Jeźdźców Apokalipsy) i Robledo (Ziemia Zdobywców); 2) Typ młodej rozbudzonej dziewczyny: Cziczic (Czterech Jeźdźców Apokalipsy) Celinda (Ziemia Zdobywców) i Alicja de Lisle, jako młoda panna (Wrogowie kobiet); 3) Typ kobiety awanturki Alicja de Lisle w wieku późniejszym (Wrogowie kobiet) Helena Torrebianca (Ziemia Zdobywców), Freya Talberg (Mare nostrum), i do pewnego stopnia Dona Sol (Krew na

arenie); 4) Typ młodego mężczyzny, nastrojonego nieco „na szalono” Jan Galjardo (Krew na arenie) Ulesses Ferragut (Mare nostrum) i do pewnego stopnia Julek Desnayen (Czterech Jeźdźców Apokalipsy). Oprócz tych czterech typów tworzących oś akcji powieści Ibaneza, mamy mnóstwo drobnych powtórzeń osób drugorzędnych, a nieraz nawet całych epizodów, jak to ma miejsce np. w spotkaniu Heleny i Manosa Durasa (Ziemia Zdobywców) i Dony Sol i Piórka (Krew na arenie). Tyle o typach. Jeżeli chodzi o budowę powieści Ibaneza, to konstrukcja, przy dużej różnorodności akcji, jest dosyć mało spoista. Ibanez lubi dużo mówić od siebie, nie uznaje równomiernego rozłożenia akcji, przy rozciąganiu epizodów uogólnia nieraz całe okresy w kilku zdaniach. Zasadniczą zaletą powieści Ibaneza jest ich styl barwny i kipiący temperament — oraz świetne realistyczne opisy: nie zapomniana walka byków w „Krwii na arenie” i przesłiczne opisy Morza Śródziemnego we „Flor de Mayo” i „Mare Nostrum”. Strona psychologiczna powieści naogół szwankuje. Autor nie pozwala dużo bohaterom myśleć, — nie komplikuje zbyt sytuację, i bardzo wiele rzeczy zakłada „a priori” delikatnie bardzo udawadniając je akcją. Rozwój stanów psychicznych bohaterów jest pomijany wielokrotnie na rzecz akcji. Temperament przyniósł tu niewątpliwie autorowi szkodę, nie pozwalając na zachowanie koniecznej równowagi. Wyjątkiem z reguły jest „Mare nostrum” powieść, jak na Ibaneza, mało ruchliwa, ale za to bardzo subtelnie wycieniowana. Charaktery zakreślone bardzo ładnie — i wątek romansu przeprowadzony naturalnie. Tragizm utworu nie jest tu przez autora narzucony sztucznie jak np. W „Ziemi zdobywców”, ale wypływa logicznie z samego biegu akcji. A przytem podwójne tło: Piękno i beztroška morza Śródziemnego i groza wojny, straszna, bo zdala od frontu i nie na polu walki, nadaje utworowi formę skończoną, a nawet artystycznie piękną.

„Mare nostrum” przewyższa o wiele przereklamowanych „Czterech jeźdźców Apokalipsy” których nie bez słuszności Wittlin nazwał „horrendalnym kiczem” Pacyfizm zresztą bardzo anty - germański obu utworów odnosi naprawdę zwycięstwo w „Mare nostrum”.

Vicente Blasco Ibanez nazywany jest „hiszpańskim Zolą”. Sam oburzał się na tę nazwę i, słusznie dowodząc, że Zola był w swej pracy literackiej refleksyjny, on zaś jest impulsywny.

I właśnie dlatego, że dzieła Ibaneza są tylko spowodowane temperamentem, nie osiągnie on nigdy tego znaczenia, jakie osiągnął Zola. W literaturze hiszpańskiej będzie miał napewno należne mu miejsce pośród wybitnych prozaików, w literaturze wszechświatowej pozostanie meteor, który świeci i zgaśnie. Zastąpią go wkrótce inni, równie pełni temperamentu i równie barwnie piszący.

Jerzy Toeplitz.

Wieczór poetycki Kwadrygi

Trzecie publiczne wystąpienie grupy Kwadrygi dowodzi nie tylko jej dużej ruchliwości, lecz również i faktu, że potrafi ona utrzymać prawo głosu, jakie sobie w krótkim czasie wywalczyła. Ci młodzi poeci, tak nieśmiało przemilczani przez pewne starsze sfery literackie, mają co powiedzieć — w tem jest sedno sprawy i geneza ostatniego wieczoru Kwadrygi. Może sobie zresztą na to pozwolić grupa poetycka, gdzie co człowiek to talent, a co wiersz to wysokiej wartości poezja. Wystąpienie łączne było o tyle lepsze od tych wieczorów autorskich, jakie dotąd miały miejsce, że grupa Kwadrygi stanowi istotnie zwartą, spójną całość. Pomimo niewątpliwych odchylen i indywidualnych rysów poszczególnych poetów, łączy ich wspólna postawa artystyczna i społeczna, która dałaby się określić jako kultura życia, człowieka, pracy i słowa. Wartości jakie wnosi Kwadryga, a więc — własna forma artystyczna, gdzie mniej jest epigonizmu Skamandra niż się to raczyło zdawać „Wiadomościom Literackim”, i dalej treść i tendencję twórczą idącą przedewszystkiem w kierunku zagadnienia społecznego, przyczyniają się do tego, iż Kwadryga bezwzględnie przoduje wśród najmłodszych grup poetyckich. Że stanowi ona istotną (i dodajmy — zwycięską) reakcję przeciw Skamandrowi świadczą fakty zerwanie ze skamandryckim upajaniem się chwilą na rzecz głębszego, bardziej konstruktywnego poglądu na świat oraz zerwania ze skamandryckim upajaniem się słowem — charakterystyczną bowiem dla Kwadrygi jest przewaga idei nad słowem. Pod tym względem wyjątek stanowi jedynie Bibrowski, poeta dla Kwadrygi najmniej typowy i stanowiący nawet na tle grupy pewien zgrzyt, co nie przekreśla zresztą jego niewątpliwego, indywidualnego talentu. Ponieważ zaś utarło się błędne jak z powyższego wynika przekonanie, że autor „Boga artystów” jest czotowym poetą Kwadrygi, przeto gwoli sprostowania tego sądu (jak się zdaje zrodzonego nie tylko z faktu, iż listę poetów Kwa-

drygi rozpoczyna litera b) krótkie omówienie wieczoru autorskiego w Uniwersytecie, zacząć należy od Bibrowskiego. Jak już zaznaczono, twórczość tego poety choruje na wyraźny, w ostrej formie występujący przerost słowa nad treścią. Wiersze i poematy Bibrowskiego cechują zgrabne dla młodego poety dłuższy poetyckie. Upaja się on słowem przyczyniając się do obniżenia wartości utworu nie mówiąc już o spoistości wiersza, która niknie rozlana w częstokroć

niepotrzebną wodę. Odbiło się to fatalnie na poecie, gdy przyszło do czytania utworów — Chóry poetów i Lindberg były słabszą częścią wieczoru, która osłabiła poprzednie, doskonałe wrażenie, przyczyniając się do słusznej rejterady i tak już zmęczonej publiczności. Wiersz Bibrowskiego zyskałby dużo na wartości, gdyby poeta mógł się zdobyć na pewne skondensowanie, na oszczędność słowa. Nic tu nie pomaga treść ubrana w barwne myśli. Bo jak sam to

poeta przyznał — „to są mimo wszystko — słowa, słowa, słowa”. I jeśli w stosunku do Kwadrygi da się zastosować zarzut epigonizmu skamandryckiego — to właśnie w wypadku Bibrowskiego.

Najwybitniejszym talentem Kwadrygi jest bezwątpienia Włodzimierz Słobodnik. Nie będziemy zdaje się dalecy od prawdy, jeśli powiemy, iż dopiero w Kwadrydze poczuł on się na właściwym sobie miejscu i nabrał pełnego oblicza ideowego na tle pokrewnego sobie kierunku. Słobodnik to poeta par excellence społeczny — zagadnienie społeczne postawione na artystycznej platformie nabiera u niego pełnego wyrazu i dlatego słusznym wydaje się przewidywanie autora artykułu o Słobodniku w Nr. 4 „Gł. Lit.”, iż od niego właśnie wyjdzie epos społeczny. Niemniej utalentowanym poetą mającym o wiele lepsze nawet warunki do zdobycia czytelnika czy też słuchacza jest Aleksander Maliszewski. Talent swoisty, oryginalny cechuje w dużej mierze silne uczucie, odróżniające poezję Maliszewskiego np. od przeintelektualizowanej roboty poetyckiej Bibrowskiego.

Rozgłos, jaki sodalicje marjańskie panów i Bractwa pań niepokalanego poczęcia zdobyły dla Niny Rydzewskiej okazał się bynajmniej nie przesadzonym. Poetka ta zasługuje na duże uznanie a ostatnie jej rzeczy (np. „I odpuść nam nasze winy”) wykazują coraz większe opanowanie słowa i pogłębienie artystyczne. Poezje Stan.-Ryszarda Dobrowolskiego należą do najpiękniejszych w dorobku Kwadrygi. Witamy w nim poetę o wyraźnej postawie artystycznej i społecznej i nią to właśnie chlubić się wybija się Dobrowolski na tle grupy. Poezje Lucjana Szenwalda, St. Flukowskiego, Z. Łotockiego, St. Ciesielszuka i T. Zajackowskiego to utwory skupiające w sobie wszystkie charakterystyczne cechy poezji Kwadrygi przy jednoczesnych dwóch odchylen indywidualnych.

Y-słki.

K. Amil.

Wierna służba

Przedwojenne „przygotowanie” społeczeństwa polskiego jest właściwie do dziś dnia niewyrażnym i nieshistorjizowanym dokumentem przeszłości.

Rozprószonej działalności polityczno-partyzanckiej od Dumi do Koła Polskiego poprzez bojówki P. P. S., — była w okresie na krótko przed wojną tak różnorodna i nie raz niezdecydowana, że wszystkie te posunięcia w owym czasie, o ile w rezultacie dawały spłot najdziwniejszych, często chaotycznych i sprzecznych z sobą zabiegów o grunt rzeczywistości polskiej, o tyle dziś, stanowią one niewątpliwą wartość w znaczeniu ówczesnej psychiki narodowej. Historjografia dziejsza z tych lat „przygotowawczych” do czasu wyraźnego scharakteryzowania oblicza Legionów (kryzys w roku 1917) — nie obejmuje zasadniczo i nie przedstawia w sposób argumentalny i bezstronny oceny prac tych organizacji politycznych tajnych i jawnych, które z ideą niepodległościową związane były ściśle i dla niej stworzone. Wiemy jednak, że organizacje takie były i że w szeregu ogniskach na różny okres przed wojną wrzała już i rosła w nich praca państwową — przekuwająca się powoli w przyszły a nieśmiertelny wysiłek i najpiękniejsze szaleństwo.

Z dotychczasowych wydawnictw, wyjaśniających legendę o zmierzchu niewoli narodowej i pracy o hasłach wyzwolenia w ówczesnym społeczeństwie — mamy do odnotowania niezmiernie ciekawą, obszerną książkę p. t. „Wierna Służba”¹⁾, zawierającą — jakże żywe i jakże piękne wspomnienia z tych właśnie ciężkich, syzy-

ficznych lat „przedwojennej” Polski. Książka ta, jako dokument historyczny nie wyczerpuje co prawda całości tego ważnego okresu „mobilizacyjnego”, w jakim znalazły się trzy dzielnice Polski przed wojną, jest jego jednak najpiękniejszym i może najwznieślijszym fragmentem, ujmującym w sobie marzenia o Polsce i bezbrzeżną dla Niej ofiarność ze strony Sinfonistów - Polek. Wspomnienia tych zaprzędanych na śmierć Ojczyźnie bohaterów, kapłanek Entuzjazmu — rzucają stubarwne światło na kwiat polskich kobiet ideowych, które z brawurą godną najzacieśniej naszych postaci historycznych z pod Samosierry, Bab-el-Esmar czy San Domingo, szły do konspiracyj i wywiadów, od walki bezpośredniej w okopach aż do prusko-rosyjskich kazamatów — budzić i porwać z obojętnością i wyjąłową samoradnością społeczeństwa. Wspomnienia tych czasów sięgają daleko przed wojnę. Korzenia się one w „Strzelcu” i „Drużynach Strzeleckich” a biegną poprzez planty polwowskie i pokrakowskie wykłady i ćwiczenia aż do „matury” na tyłach wojsk nieprzyjacielskich i podziemnej roboty w b. Kongresówce. Zadziwiająca wytrwałość tych tak często nad siły fizyczne spełniających rozkazy idealistów — tak niejednokrotnie młodocianych — budzi w czytelniku uczucie najwyższego uznania i pietyzmu, nie przerywając ani na moment głębokiego wrażenia, więżącego z gorących przeżyć naszych szalonych, którym głąb poświęcenia wżerał się w sercu aż do śmierci i do Polski.

Nad książką „Wierna Służba” zatrzymać się musi pilne oko historyka, badającego epizologię narodową na płaszczyźnie jej ponurej, ku finiszowi zdążającej martyrologii stulecia.

¹⁾ „Wierna Służba”. Wspomnienia Uczestniczek Walk O Niepodległość 1910—1915. Pod Redakcją A. Piłsudskiej, M. Rychterówny, W. Pelczyńskiej, M. Dąbrowskiej. Warszawa, 1927. Główna Księgarnia Wojskowa.

Igor Siewierianin w Warszawie

Starsze pokolenie poetów rosyjskich, związane ściśle z ojczystą kulturą i narodowymi tradycjami, znalazło się obecnie, w przeważnej części na emigracji. Wystąpiły w Rosji, głównie w okresie rewolucji, nowe, młode elementy z genialnym Siergiejem Jesieninem na czele. Tradycje Błoka i Majakowskiego trafiając na grunt podatny wydała plon obfity, lecz częstokroć bardzo różniczkowany pod względem prawdziwej wartości artystycznej.

Powody natury czysto politycznej zmusiły do opuszczenia granic Rosji jednych z jej najwybitniejszych poetów: Konstantego Balmonta i Igora Siewierianina.

Pierwszy z nich, wypróbowany przyjaciel Polaków — bawił u nas w roku ubiegłym, budząc szacunek dla swej prawdziwej kultury artystycznej i podziw dla świetnej twórczości literackiej. W ostatnim miesiącu — lutym — zawitał do Warszawy drugi z czołowych poetów rosyjskich — Igor Siewierianin.

Jest to postać tem dla nas ciekawsza, że na dużym obszarze młodej (powojennej) poezji polskiej spotykamy jego ogromne wpływy.

Byłoby zbyt krótko postawieniem kwestii twierdzenie, że Tuwim i Wierzyński wyszli z Siewierianina, ale śmiało możemy mówić, że nie wiadomo jaki kierunek przybrałaby poezja wyżej wymienionych poetów, gdyby nie wpływ emanacji artystycznych założeń Siewierianina. Nie mogąc wdawać się na tem miejscu w dokładniejszą analizę poezji np. Wierzyńskiego — celem udowodnienia słuszności naszych twierdzeń — ograniczamy się do wskazania jednego z jego wierszy a mianowicie: „Odwiedziny” zawartego w zbiorze „Wiosna i wino”, którego sam zresztą tytuł — mówiąc nawiasem — najwyraźniej wskazuje na ogromny stopień pokrewieństwa z Siewierianinem. W cytowanym wierszu Wierzyński wyraźnie wymienia Siewierianina (obok Staffa i Whitmana), jako jednego ze swoich drogiej mistrzów i duchowych przyjaciół. Nie jedno też wziął z Siewierianina Julian Tuwim ze swoją wrażliwą na wpływy konstrukcją psychiczną.

Przyjazd Siewierianina do Warszawy przeszedł naogół niespostrzeżenie dla szerszego ogółu. Dużo więcej uwagi poświęciła kulturalna Warszawa bawiącemu jednocześnie — młodemu poecie litewskiemu. — Obawiamy się jednak, że nie mała rolę odegrał w tem zainteresowaniu niewątpliwie „egzotyzm” pisarza, oraz duża doza zwykłego snobizmu.

Najserdeczniejsze przyjęcie spotkało Siewierianina u Aleksandra Lednickiego¹⁾, który podejmował poetę specjalnie na jego cześć wydanym przyjęciem. Obok najwybitniejszych przedstawicieli warszawskiej kolonii rosyjskiej z D. W. Fiedosofowem i S. Kulakowskim na czele, obecni byli przedstawiciele literatury polskiej, w osobach: Ferdynanda Goetla prezesa Pen - Clubu, Nalkowskiej i Slonimskiego.

Dnia 16 lutego odbył się w „Domu Rosyjskim” wieczór poetycki Siewierianina, urządzony staraniem Tow. rosyjskich pisarzy i literatów. Szczupły lokal Towarzystwa wypełnił po brzegi publiczność wyłącznie rosyjską, wśród której większość stanowiła młodzież. Zjawienie się Siewierianina powitane zostało długo niemilkącą burzą oklasków. — Przyglądam się poecie z łatwo zrozumiałą ciekawością. Ciemny strój wieczorowy podnosi wykwintność jego oryginalnej postaci. Pyszna sepią, czy orla głową. Czarna rozwichrzona czupryna, pałające oczy. Usta mocno zaciśnięte nadają twarzy wyraz surowej zaciętości. Ale kamienny — napozór — spokój znika, gdy tylko Siewierianin zaczyna mówić. Nieruchoma maska ożywia się, poeta woła, śpiewa, oskarża...

Całość swego wieczoru poetyckiego podzielił Siewierianin na trzy części: pierwszą — poświęcił stosunkowi samego siebie — jako poety — do zjawisk otaczającego go życia. Drugą część wypełniły świetne sylwetki szeregu wybitnych pisarzy rosyjskich. Wreszcie trzecia, najbardziej nas w danej chwili interesująca — to poezja — jeśli ją wolno tak nazwać — patriotyczna.

¹⁾ Patrz „Za Swobodą” Nr. 39 z d. 17 lutego b. r.

Ujmująca słuchacza bezpośredniość przeżyć w połączeniu z prześliczną prostą i piękną formą — oto najbardziej ogólna charakterystyka poezji Siewierianina.

Znamy S. jako autora najbardziej „młodych” i świeżych wierszy w literaturze dzisiejszej. Jest w nich coś z hellenskiej pogody i radosnego piękna, — z anakreontyków, — z tego, co zda się zginęło już bezpowrotnie. Same tytuły zbiorów jego poezji przemijają nas nieznanym dreszczem radości ciekawości. „Gromokipiący kubek”. „Ananasy w szampanie”. „Toast bez odpowiedzi” i wiele innych (dorobek poetycki S. wynosi dzisiaj kilkanaście tomów).

Pierwszem naszym wrażeniem było podczas słuchania jego recytacji, że S. zmienił się dziś. Roześmiana młodzieńczość ustąpiła miejsca głębokim, smutnym refleksjom.

— Cóż z tego, mówi, że jestem poetą rozkochanym w muzyce tańczącego wiersza, poeci dzisiaj nie są potrzebni ludzkości, temu „praktycznemu zwierzyńcowi”. Kultura dzisiejsza — to symfonia muzyki artylerystycznej, i wynalazki gazów trujących”. Ale smutny i bezdolny poeta musi walczyć zawsze z głupotą ludzką! — Żyć w tej atmosferze nie można, — Idzie więc ku lasom dalekim i jeziorom milczącym — pozostawia daleko za sobą współczesną kulturę z jej jazzbandem i „garsonkami”. Smutny obraz dzisiejszej kultury odmalował Siewierianin.

Charakterystyki poetyckie: Tolstoja, Dostojewskiego, Niekrasowa, Briusowa — stanowią małe arcydzieła. Wystarczą za tomy uczonych, naukowych monografii. Pokazuje nie życie, lecz przeżycia twórców. Zamyka szereg charakterystyk dawnych pisarzy, jedną — współczesnego. To Siergiej Jesienin — „genialny rosyjski chuligan” — jak go świetnie określa Siewierianin.

Ostatnią część wieczoru wypełniła najnowsza poezja, powstała już na obczyźnie (S. mieszka obecnie stale w Estonii). Dźwięczy w niej nuta nowa: tęsknota za ojczyzną i do ojczyzny.

— Istnieją, woła Siewierianin, słowa potężne: miłość, Rosja! — Stać się Rosjaninem — to

znaczy stać się nieśmiertelnym. Musi zginąć chuliaganstwo rządzące Rosją. Rosja nie może nigdy umrzeć, tak, jak wieczem jest słońce i... poezja. Nie chcę być poetą wszechświatowym, chcę być poetą rosyjskim!

Ciekawem jest, że Siewierianin dochodzi do podobnych koncepcji, co i nasi wieszczowie na emigracji (skądinąd wiemy, Mickiewicz nie jest mu obcy, — Rosja upadła, ale nie musiała być bez winy. Chcąc odzyskać straconą ojczyznę, musimy, wzywać rodaków, i stać się tego godnymi! Jeśli my będziemy dobrzy to i ojczyźnie naszej będzie sprzyjało szczęście. Musimy więc dążyć do odrodzenia serc i dusz!...)

Siewierianin głęboko jednak wierzy w zmartwychwstanie samej Rosji. Oczekuje tej chwili radosnej, jak przyjscia ukochanej przez siebie wiosny. Nie stracił poeta, mimo licznych przeciwnych pozorów, niczego z twórczego, świadomego optymizmu, z cechującej go tężyzny duchowej.

Po żywiołowej owacji urządzonej mu przez młodzież, zakończył wieczór jednym z najpiękniejszych wierszy, w młodej literaturze doby dzisiejszej: — Wiosennym dniem²⁾.

— „...I znowu jestem sobą i znowu jestem młody... w dniu tak błogosławionym niema wrogów, wszyscy ludzie są prawi...”

Tym potężnym, młodzieńczym akordem zamknął Siewierianin swój świetny wieczór poetycki.

Do wzmożenia nastroju przyczyniła się też ogromnie świetna recytacja autora. Nie było w niej nic z aktorskiej melo - deklamacji — było mocne, męskie słowo.

Dawno już nie miała Warszawa możności słyszenia tak pięknej i prawdziwej poezji.

St. Smoleński.

²⁾ Ze zbioru p. t. „Gromokipiawszej Kubek” 1911. (1).

ANDRZEJ WOLICA.

Historyk.

W suchym szeleście - szmerze, zblakłych,
zmęczonych stronic,
Chronologicznej historii, odwijam obły blask.
Zmarłym złudzeniom buduję blado - błę-
kitny pomnik,
Nocnym nokturnem nicości usypiam siłę mas.
Zmęczonych żrenie łyskaniem łuszczę le-
gendy szare,
Ran ropnych, robaczynych prostaczą po-
dłość mierzę.
Malerki mózg człowieczy, malerką tworzy
miarę
W zgaszonych zdarzeniach - czynach, roz-
żarżam życie świeże.

Olśniewający ogrom i małość moja mała
Krzywozwiązany kontrast na czcionkach
codziennych dni.
Wśród gorzkich, gasnących godzin, chwilę
ma istotność istniała
Nicuję nabożnie notatkę, drży dłoni żyłastej
sieć żył.

Poręcz pochyłych pleców przytłacza zdań
zeszły.

Oczy — ogniki groszowe szperają szpargał
stary,

Syczy świat. Zdycha. Zmurszałe zwala
ze zgrzytem.

Sypię na słowa dymiące popiołu smugi
szare.

Jestem nieładzko niezmienny, nieładzko nie-
zmęczony.

ZYGMUNT ŁOTOCKI.

Wybuch.

Kroplami słonego potu, piekąciami jak
octowa esencja
Będziemy zrastać się z ziemią aż urośnie
potworny stalaktyt...
I tędy — od czoł ku ziemi będzie wzbierał
olbrzymi potencjał
Nieuchronnie idących, straszliwych, okrut-
nych faktów.
Jeszcze raz zalsni rozum, wyostrzony, jak
stalowy pugnał
Nie przewidzi niczego i w krzyżujące rozsy-
pie się drzazgi
Potem ziemia i niebo w czerwony kłębek się
zwiną
I wylecą w powietrze poprzez ból i wbrew
naszej jaźni.

ALEKSANDER MALISZEWSKI.

Wyspa obłąkanych.

(Fragment z powieści)

Wieczór był, jak wielki fioletowy
rondel, w którym tajemniczy alchemik pra-
ży gęstą, błyszczącą miksturę o zapachu
rozwijających się sterczyków i maciejek.
Badawcze oko uczonego spogląda przez
napelniony płynnym światłem mikroskop,
a ludzie stają, podnoszą do góry głowy i po-
kazują palcami: — O, Księżyce.

— Niebo dziś jest, jak płótno Böckli-
na — powiada Zefiryn — nieprawdaż,
panie Gwoździak?...

— Jak płótno Böcklina, jak płótno
Böcklina — powtarza mechanicznie kapitan
Gwoździak — a co?...

Urwał. Wszystkie oczy zwróciły się
ciekawie w stronę kapitana. Chwilę milczał,
potem trzasnął dłonią o kolano.

— A co? — Jakby tak pójść w ty-
raljerę pomiędzy gwiazdy — Ułańską pi-
kietę wystawić na księżycu — Baterje umo-
cować na chmurach — i prażyć, psia krew,
prażyć — co? He he he...

Ojciec Anioł wyjął chusteczkę, wy-
czyścił nos, wziął ze stołu jabłko i pokiwał
głową.

— Oj, ludzie, ludzie...

— Ludzie są świnię — zaperzył się ka-
pitan Gwoździak — wystrzelać wszystkich,
wystrzelać. Ustawić baterję, powiadam, na
chmurach i pęć! Ziemia się kręci — pęć!
pęć! — To byłoby czysto — a co?...

JAN SZCZAWIEJ.

Miecz na leziesz.

Z oczyma wlepionymi w mogilny bezbrask dali,
Na przyjsie czekający świetlanych, nowych królestw,
Splatali ponad głową ramiona i płakali,
Ze skąpać się nie mogą w skrach promienistych ulew.

Zgasł bowiem niespodzianie ożywczy wulkan słońca,
Co wszechświat swoim ciepłem przez lat miliony karmił
Od chwili, kiedy znaleźć swym barbarzyństwem końca
Zbroczone krwią nie mogły kły rozwydrzonych armij.

Strugami krew zalała w wigilję katastrofy
Ojczyznę całą ziemską i w piersi jej się wgrzyła,
Czerwieni jej nie starły łopaty i kilofy,
Cuchnąca tryska w niebo aż po dziś dzień trucizna.

Łapczywie noc chwyciła w swe sępie szpony władzę
Świat w mroczne, potargane całuny omotała,
Mrok czarny był i gorzki, niby syczące sadze
I darmo z nim walczyły zniekane mięka ciała.

I już ostatnia iskra nadziei w nich zamarta,
Wołania ich rozpaczne zostały bez pomocy,
Rzęziły i charczały ostatnim jękiem gardła
Pod druzgoczącą stopą brutalnej, zimnej nocy.

I wtem jak Bóg, jak słońce spragnione, wymodlone,
Głos jakiś gromem rozbrzmiał w krzykami prutek niebie
I z serc zdart zapleśniałych z szatańskiej mgły zastone,
Co widzieć im ratunek wzbraniała w głębi siebie.

A głos ten przecie dawno od niepamiętnych wieków
Ludzkości szeptał ciągle, że chcąc odrodzić ziemię,
Miecz gwałtów, krzywd i hańby najrychlej trzeba przekuć
Na ciszą skib dzwoniący, wieszczący szczęście leziesz.

MARJAN WRÓBEL.

Męczennicy.

Jesteśmy wyrobnikami w fabrykach, kopalniach, kolejach,
Wieczorem wracamy źli, zmęczeni, przeżarci przez trud,
Codziennie do nas uliczki bezmyślnym rechem się śmieją —
Boże! głodni jesteśmy, czekamy, czekamy na cud.

Nad nami niebo w półkole zimnym odbłaskiem się mieni,
Przekleństwo na wargi wypęła, lecz chcemy je zdusić i zmoc
Potem przed szynkiem stoimy i długo szukamy w kieszeniach,
I woń smrodliwej machorki głęboko wciągamy do płuc.

W nocy głód kasa, mróz żywym ogniem nas parzy,
Czekamy, kto przyjdzie, czy przyjdzie, sami nie wiemy skąd;
O Boże, myśli nam zmieszaj i serca modlitwą zawrzej!
Te serca co przeciw Tobie codzienny podnoszą bunt.

O znam was męczennicy z brudnych piwnicznych suteryn,
Z bezmyślną pustką w sercu biegacie jak psy bezdomne,
Podnieście pięść utrudzoną, niech gniew wam zęby wyszczerzy,
Bo świat was ze szczęścia wykreślił, a Bóg zapisać zapomni.

ZYGMUNT ŁOTOCKI.

Kopalnia.

Niema świtu w głębokiej sztolni,
Niema wiatru, co płuca odświeża.
Przychodzimy z góry — ludzie wolni
Zaczynamy trud — czarni żołnierze.

Wieżą duszne, zatechłe przeciągi
Z czarnych łomów i łecich kruzganków
Strach po głowie uderza jak drągiem,
Kiedy nagle pogasną łaganek.

Ciężko walić stalowym łilofem
W głuchą ścianę, w błyszczący mur słalny,
Wkuwać ciosy, jak słowa we strofę
W twardą szyję śmierci niewidzialnej.

Oстрым швідрем wiercimy otwory,
Zakładamy burzący dynamit,
— Hu! wybuchu złocistym toporem
Rozrąbuje ciemności zamęt.

Niema ciszy w podziemnej bezedni
Dźwięczy stal, węglem pryska i ciska.
— Pracujemy na swój chleb powszedni,
Mamy ręce od potu śliskie....

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK.

Orzeł.

Dumny, silny, nieugięty orzeł
Podał pierś przestrzeni i wichurze
Skrzydła chmurą w przestwór rozprzestwo-
rzył
I aniołem czarnym runął w burzę.

Grzmiało gromem w deszczu prężnej sieci
Wybiegł z chmury jak z pękniętej bryły
Jeden piorun, drugi piorun, trzeci —
Trzy pioruny z orłem się zderzyły.

Nie ulegnie orzeł trzem piorunom,
Chociaż skrzydłom będzie coraz ciężej —
Trzy pioruny w trzy przepaście runą
Trzy pioruny padną — on zwycięży.

Wyżej orle! — Dumniej, wznioślej, szerzej!
Orłom lecieć, pętać podłym płazom!
Jeśli piorun w skrzydła twe uderzy,
Uderz w piorun sercem jak żelazem.

Kapitan Gwoździak mówił dalej.

— Książd nie wie kto, ale ja wiem kto.
I przyjdzie czas, gdy powiem, powiem, choć
bym miał w chwilę potem umrzeć — po-
wiem...

Przestał mówić. Zamachał rękami, za-
klął „cholera!” Przebiegł kilka kroków,
krzyknął „świnie!” i wybiegł z altany.

Na tle rozpiętych gałęzi drzew widać
było sylwetkę kapitana Gwoździaka, jak na
krótkich nogach kołysał się, niby statek.

— Oj, ludzie, ludzie — jęczał ojciec
Anioł i obierał scyzorykiem jabłko. Długi,
wężykowaty pasek łupiny skręcał się do-
koła jego palców.

Ojciec Anioł podniósł do góry obie ręce.

— Słuchajcie! Przyjdzie czas —
patrzcie! — To my! — (rzucił łupinę za
poręcz altany) — A to ziemia — (białe
ciało jabłka błyszczało w świetle księżyca).

Tego wieczora nie można już było my-
śleć ani o grze w domino, ani o przyjemnej
a budującej rozmowie. Humory pokwa-
śniały. Każdy wymykał się pojedynczo —
jedni na samotną przechadzkę po parku,
inni jeszcze pocios... I tak się stało, że
w godzinę potem ojciec Anioł spotkał się
na polance oko w oko z kapitanem Gwo-
ździakiem. Patrzyli na siebie kilka sekund
bez słowa. Byli jakby zawstydzeni spotka-
niem. Wreszcie kapitan Gwoździak pod-
szedł do ojca Anioła i mocno, po żołniersku,
położył mu rękę na ramieniu.

— Mam do ciebie prośbę, ojcze...

— Mów.

— Odpowiesz mi szczerze?

— Mów. Powiem.

Kapitan Gwoździak chwycił ojca Anioła
za rękę, ścisnął, a drugą wskazując na roz-
gwieżdżone niebo:

— Człowiek prosty jestem. Powiedz
mi. Słyszysz? — powiedz. Jest tam kto?
Ojciec Anioł opuścił oczy.

— Nie śmiem wiedzieć...

Wtedy kapitan roześmiał się głośno, aż
echo przerażone skoczyło i zawisło na ga-
łęziach.

— To ja ci powiem. Patrz!

Wskazał ręką do góry.

— Widzisz?

— Nic.

— Nic nie widzisz?

— Gwiazdy.

— Nic, oprócz gwiazd — rozumiesz? —

nic, oprócz gwiazd. Ha, ha ha — Ale css!
O tem nie wolno — nnie wwolno!

Upadł na ziemię i zaczął ją całować.

— Kocham cię, ziemio, kocham, ko-
cham. Kocham cię mój pierwszy dziecięcy
pacierz za słowami matki dźwięcznym
głosikiem rzucony w pustą, zimną prze-
strzeń. Kocham was spadające gwiazdy.
Niejedno życzenie wysłałem za wami —
nic się nie spełniło — nic. — Dlatego wła-
śnie was kocham. Wszystko, wszystko
chciałbym przycisnąć do piersi, w sobie po-
mieścić, wchłonąć, wessać się we wszystko...

Łomotał pięściami po trawie, krzyczał,
drapał.

— Ojcie Aniele... ojcze Aniele... Czy
to nie śmieszne? Taki gnój, takie bydle,
jak ja... co?...

Dziewczyna z zimorodkiem.

Romantyzujące ze sobą dwie wieczne fizjonomie dnia: natura i człowiek — to momenty wystające w twórczości Ewy Szelburg w różnorodnej formie. W nowej powieści wydanej p. t. „Dziewczyna z zimorodkiem”, autorka konkretyzując swój świat, trzeba przyznać, czyni to z wyjątkowym darem syntetyzowania. W epoce absurdu materializacji życia, dochodzącej do zupełnego wyeliminowania z jego treści przyczynowości psychicznej — książka ta zdecydowanie mierzy w sam ośrodek zbutwiałego samobytu — w serce nawyków i przesądów — wyprowadzając z ciasnych przyrb Grązłowej chaty ogromne, przestrzenne myśli Adama i Ewy.

To, co się dzieje w książce Ewy Szelburg, młodej, talentowanej powieściopisarki — nazwało się samo chłodnym, postępowym tragizmem człowieka, cieszącego się „nie swoim życiem” i umierającego „nie swoją śmiercią”. Typ „dziewczyny z zimorodkiem” wyróżniony na tle cudacznych światopoglądów jej rówieśniczek — to typ szukający za sobą po życiu w którym się nigdy nie znajduje. „Albowiem niema kamienia, niema rośliny, zwierzęcia i człowieka, niema słońca i ziemi, niema życia i śmierci — jest tylko wieczna zapobiegliwość i krzątanie...” To credo dziewczęcia, stojącego na wyżynach szopenhauerskiego rozkwitu, nihilizujące świat doczesny wraz z wszystkimi jego formami — uwypukla Ewa Szelburg doktrynę przyczynowości i skutku mówiąc „...garść gliny wyrwał Bóg dłonią z ziemi i nadał tej częście kształt człowieka. Człowiek rósł, a wraz z nim rosła wydarta w ziemi rana”. Wtedy „chwila po chwili, dzień po dniu, noc za nocą, czeka ziemia zwrotu tej części żywem wydartej z jej ciała. Nocą i dniem czeka grób - rana na żywym człowieku...” aż kiedyś, o jakiejś tam porze „...odbierze ziemia swój dług... i ranę krwawiącą zagoi”. Dokoła tej prawdy maksymalnej, jako idei przewodniej, obraca się cała powieść Ewy Szelburg o „Dziewczynę z zimorodkiem”. Dziewczyną tą będzie Iwa, której nie przyciągnie do siebie ani miasto pijące „szampan z ananasek”, ani rodzinna wieś, ani żaden człowiek. „Jakże ją bowiem może nasycić drugie ciało ludzkie, jeżeli nie mógł tego dokonać więcej wiatr, ani bezbrzeżna woda, ani wieczyste gorejące słońce!” Iwa wie, że ma spłacić tylko dług ziemi przez miłość dla mężczyzny, aby móc „potem odejść i szukać, aby wreszcie znaleźć!...” właściwą, niezależną Iwę. Miłością tą będzie Adam, syn Grązła Benedykta. Adam, to podobny typ Iwie, gdy mowa o wypośrodkowaniu zasadniczych cech ideologicznych tych dwojga młodych ludzi. Adam nie uznajej prawa własności ziemi, która „jest tylko własnością swoją” — w odniesieniu do Iwy, kochać ją będzie całą świętością uczuć, ale uczuć odmiennych od Iwy. „Ty całujesz tylko moje usta, ale nie mnie. Może ty nawet wcale mnie nie widzisz...” — „Widzę cię — odpowie Adam”. „...jesteś w tej chwili tak różowa, jak ten kwiat dzikiej róży...”. Słowa te charakteryzują Adama jako człowieka zmysłowego, ale tylko pozornie, bo w gruncie rzeczy nigdy nim nie był i nie będzie. Od pierwszego spotkania z Iwą aż do sabatu w miłości i tragicznej potem śmierci jako pilot — Adam pozostanie antytezą swego ojca, starego Grązła, zablakowanego w interesach dorobkarskich i drepącego po zagonach kilkumorgowych, w których zaczynać się będzie i kończyć alfa i omega jego filozofii bytu.

Ewa Szelburg stwarzając podobne preczyste postacie w swej naprawie pięknej powieści, potrafiła w prostym epickim zacięciu wykorzystać wszechstronnie głęboką znajomość psyche dzisiejszego społecznego megalomanu w materiale ludzkim. Można mieć wprawdzie żal do autorki za ciężką barokową konstrukcję formy w jej powieści, za przerost tej formy nad treścią, także za nieusprawiedliwioną nieobecność n. p. Basi w akcji i nie dość jasno skryształizowany charakter Adama (czasem naprawdę rozbieżny) lub nawet za brak dostatecznego zarysu psychiki starego Benedykta po śmierci swego syna — ale to wszystko jeszcze nie potrafi zatrzeć zasadniczych cech indywidualnych tej powieści, nabrzmiałej doskonałością metaforyczną i prawdziwym, rzetelnym, artystycznym talentem pisarskim.

Płynność akcji i subtelne podejścia do tematu — to niezbite a cenne walory „Dziewczyny z zimorodkiem”.

Iryon.

Ewa Szelburg, „Dziewczyna z zimorodkiem”. Powieść. Nakładem Tow. Wyd. J. Mortkowicza. Warszawa, 1928 roku.

Hieroglif słoneczny.

Tadeusz Horzelski. „Hieroglif Słoneczny”. Wiersze. Wydawnictwo Księg. J. Lisowskiej, Warszawa 1927 r.

Przeczytawszy tomik ten możemy powiedzieć: 1. Autor ma talent. Błądzi jednak obecnie po bezdrożach; szuka swego wyrazu istotnego,

szuka możliwości i możliwości wypowiedzenia siebie. I tak też tylko można traktować „Hieroglif Słoneczny”, jako etap w walce i pracy autora nad podejściem do słowa, któreby okazało poetę.

2. Rozciągłość wartości poetyckich tych dwudziestu kilku wierszy zamieszczonych w zbioru, przedstawia się dość szeroko ale i dość jednostronnie. Obok wierszy dobrych znajdujemy (zwłaszcza jeżeli zwrócimy uwagę na stronę formalną) utwory przeważnie b. słabe. Obok zwrotów i skojarzeń wskazujących nam, iż autor osiągnął już to, co nazywamy pewną kulturą wiersza, spotykamy miejsca tak nieudane, jak n. p.

„...gazowe omdlałe płomyki szemrzące, syjące znacząco...” (Latarnie);

lub „O, drzewa, o drzewa przydrożne płaczące stargane, chwiejne,

„Wsluchałem się w wasze modlitwy przeciągłe, beznadziejne...” (Drzewa).

P. Horzelski winien bardziej zważać na dobór wierszy, na wagę i barwę każdego słowa.

3. O ile można sądzić na podstawie zbioru, strukturze poetyckiej p. Horzelskiego odpowiadają najczęściej wiersze, których osią jest temat, zdalenie, fakt, i one też wybijają się na pierwszy plan w „Hieroglifie Słonecznym”. Zaznaczyć przytem należy, iż forma dystychów jest bardzo niebezpieczna i zdradliwa. Nad wierszami pisanymi dystychem trzeba zawsze o wiele dłużej pracować, niż nad utworami strofowymi. Z dwu wierszy wiązanych w dystychy musi wypływać myśl tak doskonale sformułowana, iż koniecznym jest, by odpowiednikiem danego pierwszego wiersza dystychu, był tylko ten, i jedynie właśnie ten, a nie inny — dały wiersz drugi.

4. Jak już zaznaczyłem najlepsze wiersze w tomiku pisane są „na określony temat”. Najbardziej wartościowy z nich jest piękny wiersz: „Kamieniarz”; zasługują na wyróżnienie: „Niebo Nad Morzem” i „Podróż”.

Należy się spodziewać, że w następnej pracy p. Horzelskiego znikną wszystkie wyżej przytoczone braki, a należy się tem bardziej spodziewać dlatego, ponieważ w wierszach tych przeziara już poprzez twardą pestkę — białe i świeże ziarno, z którego mogą się rodzić drzewa.

N.

Ruch wydawniczy

Na półkach księgarskich ukazała się świeżo wydana w Tow. Wyd. „Rój” w Warszawie książka p. t. „Duch Czasu”, pióra Zygmunta Dołińskiego. Utwory zawarte w tem wydaniu, są opracowane na tematy, żywo interesujące współczesne umysły.

Pierwszy utwór, którego tytuł nosi książka, jest satyrą na żywioły wsteczne, hamujące rozwój i postęp narodu. Dalsze utwory dotyczą problemów przeważnie z dziedziny filozofii i kultury.

Książka jest wydana bardzo starannie i robi nader miłe wrażenie, zachęcając samą zewnętrzną szatą do zapoznania się z jej treścią.

Z EKRANU

CAR I POETA.

Rosyjska wytwórczość filmowa, której kilka filmów oglądaliśmy w ostatnim sezonie, stanęła pod względem ekspresji artystycznej na innym poziomie niż europejska, czy amerykańska. Potwierdza to ostatnio wyświetlony w kinie Filharmonja obraz p. t. „Car i poeta”.

Reżyserja mniej uwagi zwraca na ciągłość akcji, która miejscami rwie się, nie jest dostatecznie ekranowo powiązana, wymaga dużej inteligencji od widza i obcicia kinowego, by nie stracić wątku fabuły. Powiedzielibyśmy nawet, że do połowy obrazu nie wzbudza on zainteresowania, które dopiero powoli się zwiększa, przechodząc przy bardzo dobrych scenach końcowych w silną emocję i wzruszenie. Szereg początkowo oderwanych scen — raczej luźnych fragmentów stopniowo się skupia i łączy tworząc przy końcu już zwartą i dobrze skonstruowaną całość.

Natomiast druga strona obrazu t. j. dobór artystów i gra tychże stoi na bardzo wysokim poziomie artystycznym. Tu niema postaci groteskowych, niema parodjowania poszczególnych postaci wzgl. niedociągnięć historycznych — tu są ludzie jakby żywem przeniesieni ze swojej epoki. Gra indywidualna cesarza Mikołaja I (Karenin), Puszkina (Czerniakow), żony jego (Nat. Wołodko) i innych nawet postaci fragmentarycznej doskonała.

Jeżeli do tego dodamy wspaniałe tło Peterhofu w którym większa część akcji się odbywa, dając filmowi ładną oprawę, to musimy stwierdzić, że wartość obrazu jest istotnie duża.

Gasiński.

T e a t r.

CZŁOWIEK I NADCZŁOWIEK. W TEATRZE POLSKIM.

Bernard Shaw jest tem dla filozofii życia, czem Einstein dla fizyki. Przynajmniej w samym impulsie twórczości, zbliża się bowiem do każdego zagadnienia, a niema takich „któreby go nie pociągały, ze zgóry przygotowanym „nie” na ustach.

Jedyną rzeczą, w którą ten genialny „neinsager” wierzy bez zastrzeżeń, jest pewność, że w nic bez zastrzeżeń wierzyć nie można, że wszystko podlega obaleniu, wysmianiu i wykpieniu.

Właśnie wykpieniu. Shaw bowiem, nie drwi zgrzyliwie, lecz kpi z pobłażliwością, na jaką zdobyć się może tylko intelekt nieprzymocowany niczem do realnego życia, a związany z niem jedynie pasją nicowania aksjomatów i doprowadzaniem kanonicznych prawd do absurdu.

W swej perwersji umysłowej Shaw nie zna granic i sam z lubieżną radością ostatniem poruszeniem kielni burzy często najlogiczniejszy gmach z paradoksów, jaki sam wystawił. Zapędzwszy się w polemice z kantrahentem, nie kontentuje się zwycięstwem nad nim, lecz sięga z piedestału słuszności, wywraca na wszystkie boki i udowadnia mu, że w gruncie rzeczy jest naiwnym hipokrytą.

Twórczość Shawa charakteryzuje poza tem imponująca namietność w burzeniu. Pośród pisarzy naszej doby spotykamy takż chybą u jednego — o zgrozo! — Ilji Erenburga. W przeciwieństwie jednak do niego, Shaw jest zdecydowanym optymistą materializmu, zarówno wrogiem nihilizmu, jak i romantycznego pesymizmu.

Sofista, ekscentryk i akrobata myślowy, Shaw wchodzi w ciżbę nie z mikroskopem czy lancetem w dłoni, lecz z gołymi rękoma, — chwytą za kark pierwszego lepszego z brzegu, podnosi go na wysokość jaskrawych promieni słońca swego mózgu i... wywraca go podszewką do góry. Dając wierzącą podobiznę badanego typu, jednocześnie prezentuje jego karykaturę i dobrowolnie się z niej natrząsa.

Taki jest G. B. S., ten sam G. B. S., który w roku 1928-mym oświadcza, że nie może brać pieniędzy za swego „Man and Superman”, gdyż nie zgadza się z poglądami pana G. B. S. z roku 1903-go.

Czyżby to miało oznaczać niezadowolenie Shawa ze swej dawnej satyry na nadczołowieczeństwo, czyżby G. B. S. miał się pogodzić z Nietzsche? Wątpliwe. O ile bowiem z późniejszych jego dzieł sądzić możemy, pozostał on nieubłagany pogromcą wszelkiej romantyczności do niechętności własnej.

Jeżeli zaś nie chce brać dzisiaj odpowiedzialności za „Człowieka i Nadczołowieka”, nie zmienia to naszego stosunku do wartości filozofii tej uczy intelektualnej, w której autor z hojnością marnotrawcy pięgiętem tematów wyczerpuje.

Jak na osi obracają się one na jednym głównym zagadnieniu stosunku płci, wspartem o problem roli kobiety w życiu. Przez usta reżenera sztuki Tannera Shaw twierdzi, iż mężczyzna właściwie jest tylko narzędziem kobiety - samicy w jej funkcji naturalnej utrzymywania rodzaju.

To jest teza komedii o człowieku i nadczołowieku. Przy sposobności jednak autor rozprawia się z wieloma zagadnieniami, przeprowadzając wiewskę na kadłubie społeczeństwa angielskiego, ślizgając się po kwestji narodowościowej, socjalnej i wielu innych.

Teatr Polski wystawił „Człowieka i Nadczołowieka” z pietyzmem, godnym samego dzieła. Z radością powitaliśmy piękne płaszczyznowe dekoracje St. Słowińskiego, potraktowane w pełnym świetle i w plain airze, co w inscenizacjach p. Schillera jest doskonałą nowością.

Wykonanie nie stało na równym poziomie. Główna postać, John Tanner w interpretacji Adwentowicza najbardziej psuła całość, gdyż p. Adwentowicz przy monologach dłuższych nad trzy zdania uważał za swój święty obowiązek wpadać w patos nieszczęsnego Brutusa, patos śmieszny w karkołomnych paradoksach Shawa, które przytaczał i spłaszczał. Natomiast w krótkich dialogach Adwentowicz całkiem inteligentnie wzył się w słowo autora, wykazując rasę swego talentu.

Pani Modzelewska bardzo dobrze grała swą rolę. Niestety, swoją, a nie tę, którą jej Shaw przeznaczył: nie rolę syntetyz kobiecości. Samoborskiego wreszcie znowu ujrzeliśmy właściwie „obsadzonego”. Maszyński był świetny, jako konserwatywny liberał. Nawet pozbył się tej inteligentnej szarzy, która mu robiła popularność, lecz psuła artystyczną czystość typu.

Przekład Sobieniowskiego poprawny, reżyserja szczęśliwa i trafna.

T. D. M.

Uwaga!

Adres Redakcji zmieniony

Na marginesie

— 23 lutego b. r. minęła 69-ta rocznica zgonu Zygmunta Krasińskiego

— W dniu 14 b. m. w auli Uniw. Warsz. odbył się wieczór poetycki urządzony staraniem grupy poetów Kwadrygi.

— W nr. 8 niedzielnego dodatku do Ilustrowanego Kurj. Codz. z dnia 20 b. m. znajdujemy ciekawe wspomnienie o Wyspiańskim pióra dr. Juliana Nowaka.

— W teatrze rzymskim Argentina wystawiono nową sztukę Pirandella. Jest to jednoaktówka, zatytułowana: „Bellavita”. Rzec jest pisana lakonicznie i z wielką siłą. Bellavitę grał wybitny aktor Almirante.

— Nowy teatr imienia Szekspira ma stanąć wkrótce w Statfordzie. Na konkursie architektonicznym, jaki rozpisano, nagrodę uzyskała p. Elisabeth Scott.

— Z okazji otwarcia wystawy sztuki polskiej w Wiedniu dzienniki wiedeńskie ogłosiły szereg artykułów, bardzo przychylnych Polsce. „Neue Freie Presse” wylicza m. i. Jana Matejkę i Grotgera, którzy również jak i dzisiejsi artyści polscy są mile widzianymi gośćmi i za obcych uważani być nie mogą.

— W październiku 1930 roku przypada 2000-rocznica urodzin wielkiego poety Wirgilijusza. Medjolan już dziś przygotowuje się do tej niezwykłej uroczystości autora Eneidy, Georik i Bukolik. Plan uroczystości został już całkowicie nakreślony. Sporządzona zostanie fototypiczna edycja „Wirgilijusza” Petrarki, dzieła zachowanego w słynnej Bibliotece „Ambrosiana”.

— Bawił w Warszawie poeta litewski, Juozas Tysliava, jeden z wybitnych poetów dzisiejszej Litwy.

Do P.P. Prenumeratorów!

Prosimy o podawanie na odwrotnej stronie blankietu nadawczego P. K. O., nazwę miesiąca, za który wniesiono prenumeratę.

Korespondencja

(Odpowiedzi Redakcji).

— P. Kub. — Końska — Opowieść Pana znamionuje duży talent, jednak dziś jeszcze jest Pan pod silnym wpływem Kasprowicza, Zegadłowicza. Niech Pan dużo pisze — przyjdzie czas że z twórczości Pana wyłoni się własna indywidualna twarz poetycka. Nadesłane jeszcze nie wydrukujemy — prosimy o dalsze.

— W. W. Solec. — Wiersze pana są tylko poprawne. Nie można oczywiście powiedzieć: „Niech pan pisze wiersze na temat...” (taki lub inny), możemy jednak jeszcze raz podkreślić, że stoimy na gruncie poezji społecznej.

— A. Trojan — Lwów. List w drodze.

— J. Szcz. — Chelm. — „Miecz na le-miesz” — idzie. Pozostałe ulokujemy gdzieindziej. Numery autorskie — naturalnie. Korekta przesłanego numeru istotnie podła. Prosimy o dalsze prace. Adres „Meteoru”: ul. Krak. Przedmieście 64 m. 4

— Wojciech B. — Poznań. — nie wydrukujemy. Wiersze za słabe. Numery wysyłamy normalnie.

— Hlad. J. — Lwów. — Niestety jak wyżej. O teatrze prosimy.

— Beyette — Warszawa. — W wierszu nadesłanym cię się „napucha” — no, no! Bardzo prosimy o nadesłanie nam kilku swoich utworów — może coś wydrukujemy.

— Z. Łot. — Warszawa — „Kopalnia” pójdzie. Na razie drukujemy „Wybuch.

— Wit. Rataj. Ziel. — Warszawa. — Niestety — wiersze pana jeszcze nie do druku. Ale niech się pan nie zraża. Trzeba dużo pracować, aby dojść do opanowania słowa, jako materiału poezji. Proszę nam jeszcze coś nadesłać.

— R. Set. — Warszawa. — Oczywiście! Prosimy o materiał.

— J. J. — Warszawa. — Pomyśleliśmy już nad tem. Jest to kwestja najbliższej przyszłości.